

Oświadczenie Krystyny Kornickiej-Ziobro

Mój Mąż był lekarzem. Ja również wykonywałam ten wspaniały zawód. Oboje wiedzieliśmy, że medycyna nie zawsze daje gwarancję wyleczenia. Wiedzieliśmy, że zdarzają się powikłania, że lekarz musi czasem podejmować trudne decyzje, a szpital nie jest miejscem cudów. Ale medycyna ma swoje standardy. Lekarz ma obowiązek staranności. Dokumentacja medyczna musi być rzetelna. Opinia biegłych musi być jasna, pełna i wolna od wątpliwości. A sąd, który rozstrzyga sprawę śmierci pacjenta, musi mieć odwagę spojrzeć nie na tytuły, funkcje i autorytety, ale na fakty.

Przez lata próbowano sprowadzić tę sprawę do fałszywej opowieści o zemście. To dla mnie szczególnie bolesne. Nie prowadzę wojny z lekarzami. Sama byłam lekarzem. Przez całe zawodowe życie szanowałam tych, którzy leczą ludzi z odpowiedzialnością i pokorą. Wiem, jak wielu polskich lekarzy każdego dnia wykonuje swoją pracę uczciwie i z oddaniem. Właśnie dlatego nie mogę milczeć, gdy w konkretnej sprawie widzę — w świetle opinii zagranicznych ekspertów i ustaleń ujawnionych w toku procesu — poważne błędy, przemilczenia i nieprawidłowości.

To nie jest sprawa przeciwko lekarzom jako środowisku. To jest sprawa o granice odpowiedzialności w konkretnym procesie leczenia konkretnego człowieka. Jerzy Ziobro nie był przypadkiem z podręcznika. Był moim Mężem, ojcem, lekarzem, człowiekiem aktywnym, myślącym, ufającym medycynie. Trafił do szpitala po pomoc. Do domu już nie wrócił.

Choć prywatne opinie przygotowane przez renomowane ośrodki kardiologiczne i kardiochirurgiczne w USA, Niemczech, Włoszech, Szwecji i Izraelu wskazywały na liczne nieprawidłowości i błędy w leczeniu mojego męża, tym razem mamy do czynienia z opinią o zupełnie innym charakterze. Nie jest to opinia prywatna, lecz została sporządzona na zlecenie Sądu przez biegłych z Kliniki w Lozannie. Jej znaczenie jest szczególnie istotne. Powstała bowiem poza polskimi sporami środowiskowymi, poza lokalnymi zależnościami oraz poza emocjami, które przez lata narosły wokół tej sprawy.

Z publicznie znanych informacji oraz z materiału omawianego w postępowaniu wynika, że biegli z Lozanny zwrócili uwagę na kwestie, o których mówiłam od lat: na zasadnicze znaczenie wyboru metody leczenia, na znaczenie zakrzepicy i zamknięcia użytych w szpitalu stentów, na niejasności a nawet fałszerstwa w dokumentacji, na niewystarczające uwzględnienie kluczowych danych przez wcześniejsze opinie. To są sprawy fundamentalne. Nie techniczne drobiazgi. Od takich decyzji i takich zaniechań zależy ludzkie życie.

Przez wiele lat słyszałam, że się mylę, że nie rozumiem, że kierują mną emocje, że wykorzystuję nazwisko mojego syna. Odpowiadam spokojnie: jestem wdową, lekarzem, który po zapoznaniu się z dokumentacją uświadomił sobie skalę błędów i zaniechań. Jestem matką osoby publicznej, ale nie pozbawia mnie to człowieczeństwa, praw obywatelskich, w tym prawa dochodzenia prawdy przed sądem. Nie proszę o żaden przywilej. Proszę tylko, aby nie odbierano mi praw, które ma każdy człowiek po stracie najbliższej osoby.

Nie chcę, aby sąd rozstrzygał tę sprawę przez pryzmat polityki. Chcę wyroku opartego jedynie na materiale dowodowym, na zasadach rzetelnego procesu i na odwadze nazwania rzeczy po imieniu.

W tej sprawie sąd odwoławczy wykonał ogromną pracę. Przeprowadzono dziesiątki rozpraw. Przestłuchiwano biegłych. Ujawniono liczne wątpliwości, których sąd pierwszej instancji nie wyjaśnił choć był do tego zobowiązany. To samo w sobie pokazuje, że wyrok pierwszej instancji był przedwczesny i błędny. Gdyby wszystko było jasne, nie trzeba byłoby tylu lat, tylu przesłuchań i opinii z zagranicznego instytutu.

Żaden wyrok nie zwróci mi Męża. Żadne uzasadnienie nie cofnie nocy, w której odchodził. Ale wyrok może mieć znaczenie dla pamięci o Nim, dla zaufania pacjentów do państwa i dla standardu odpowiedzialności w polskiej medycynie.

Nie proszę sądu o współczucie. Proszę o sprawiedliwość. Proszę o rzetelną ocenę dowodów. Proszę o uchylenie wyroku pierwszej instancji, ponieważ w moim najgłębszym przekonaniu ten wyrok nie wytrzymuje konfrontacji z materiałem ujawnionym w postępowaniu odwoławczym, a szczególnie z tym, co wynika z opinii biegłych z Lozanny.

Ta sprawa ma również wymiar szerszy. Jeżeli pacjent umiera po leczeniu, a rodzina przedstawia poważne, spójne i wielokrotnie potwierdzone wątpliwości, państwo nie może odpowiadać obojętnością. Nie może chować się za autorytetami. Nie może zakładać, że skoro po jednej stronie stoją znane nazwiska, to po drugiej stronie muszą być tylko emocje.

Tym bardziej, że — jak się okazało w toku postępowania — oskarżony Dariusz Dudek nie był wówczas kardiologiem. Specjalizację z kardiologii uzyskał dopiero w listopadzie 2010 r., a więc przeszło cztery lata po zabiegach, które wykonywał na moim mężu. Nie wiedzieliśmy o tym, ponieważ przedstawił się nam jako specjalista kardiolog interwencyjny. Tak też prezentował go jego teść, ordynator oddziału profesor Dubiel — jako cenionego kardiologa najwyższej klasy.

Okazało się, że ta istotna dla nas informacja nie była prawdą. Nigdy nie zgodziłabym się na to, by skomplikowane zabiegi na naczyniach wieńcowych u mojego męża wykonywał lekarz bez wymaganej specjalizacji. Takiej zgody nie wyraziłby zapewne również mój mąż — doświadczony lekarz, który rozumiał wagę specjalizacji w medycynie. Zostaliśmy w tej sprawie świadomie wprowadzeni w błąd.

Co więcej, jeśli wszystko, co robili oskarżeni lekarze, było w porządku, to po co do dokumentacji „dorzucano” fałszywe badania EKG? Biegli z Lozanny potwierdzili, że w dokumentacji medycznej znalazły się badania EKG świadomie spreparowane. A skoro tak, to zrobiono to w jakimś konkretnym celu. Dlaczego również celowo fatalnie przeprowadzono badanie sekcyjne, co także wytykają biegli z Lozanny? Co najważniejsze, pominięto ono kluczowy aspekt — niedrożność wszczepionych w szpitalu stentów. Tym samym maskowało bezpośrednią przyczynę śmierci i odpowiedzialność dr. Dudka.

Oskarżony od początku wiedział, gdzie popełnił błąd. Warto przypomnieć, że już na wczesnym etapie postępowania, przesłuchiwany po raz pierwszy 18 sierpnia 2006 r., podkreślał, iż nie wiąże śmierci pacjenta z zamknięciem tętnic, bo miały być one drożne. Było to kłamstwo. Co więcej, przyczynę śmierci mojego męża kierował na ślepy tor, sugerując, że doszło do enigmatycznego rozkojarzenia elektromechanicznego serca.

Przez dwadzieścia lat walczyłam o to, aby śmierć mojego Męża nie została zamknięta w jednym zdaniu: „tak bywa”. W medycynie czasem rzeczywiście „tak bywa”. Ale nie wtedy, gdy wcześniejsze decyzje, błędna kwalifikacja, niewłaściwa metoda leczenia, brak właściwej reakcji na powikłania, zatajanie powikłań szpitalnych przed pacjentem i rodziną oraz niejasna dokumentacja tworzą ciąg zdarzeń prowadzących do śmierci pacjenta.

Wierzę, że na końcu tej bolesnej, wieloletniej drogi zwycięży prawda wynikająca z dowodów.

Dla mnie ta sprawa nigdy nie była zemstą. Była i pozostaje powinnością wobec mojego Męża oraz wobec innych pacjentów, którzy w szpitalu powinni czuć się bezpiecznie. Jeżeli z tej sprawy wyniknie choć jedna lekcja dla polskiej medycyny i polskiego wymiaru sprawiedliwości, moja wieloletnia walka o prawdę nie będzie daremna.